

Wincenty Burek

S z c z e ę ś c i e W e r o n k i

Ho - ho, czego też tam niema na tym Ocinku. Takich bid, co się to dzisiaj pęgną z tanizną, z długów, z podatków nieudźwigniętych, znajdziesz na wsi tyle, że fura kopiasta nie zmiesci. A komorników i zakuczników ani się doliczyć przez wszystkie dni roku: tyle tego ciarstwa nachodzić wieś po nieproszonym. No, a odmianaj najcudaczniejszych, że na ten przykład kto był wkiejsz z dostatkami na górze, to dzisiaj skwieczy najcieniej, też tutaj napotkasz aż za dużo. I to jeszcze, i tam to drugie i dziesiąte będzie się tu miało dla odmiany. A najsam-pierw — dziewczuchy...

W dziewczuchy obrodziła się wieś tak suto, że starczyłoby tej materji na długi rospens. Na parę niezłych lat, albo dla trzech wsi do wyboru. Cóż poradzić, kiedy tak wypadło. Nigdy dawniej się tak nie zdarzało, żeby w każdej prawie chałupie dziewkowała i kisięła latami taka jedna - druga Margoska. Co tam — jedna. Po dwie, a owdzie i trzy panny sięją rutkę i długo, oj, jak długo czekają. Wyglądają kawalira, swojego chłopca, coby nareszcie przerwał to czekanie i zajął, zgłodził i samotne, przed ołtarz. Skoro taki już obyczaj i prawo ano nie inne.

Prawo — prawem, a na Ocinku hurma dziewczycz kwitnie i przekwita. Czy nie dziwno się robi, gdy się przeliczy ocieńskie chałupy, a później się weźmie panny do rachunku? O, walnie przerażają dziewczuchy ocieńskie ponad liczbę chałup, pełno ich na graniach, chmarami idą na sumę, aż dzwoni ich głosami droga w niedzielę i stroi się pychą młodej urody. I chodzą se chwała Ocinka stronami, że panien tutaj wbród, że po miechu dziewczuskiego wisie.

A narazie, to do roku wypadnie jedno, a co najwyżej dwa wesalska, i po harapie. A doroku dojdzie do lat pięć — dziesięć szesnastolatek, co będą szukać swojego losu w oglądaniu się za kawalirami i w zabiegu o żeniactwo. I będą w powodzeniu u chłopaków podbijają starsze koleгатki, nieraz majątniejsze, czasem i urodniejsze, ale zostające w okolnej, cichej wzdargie. Ze postarzały, okwitły i chyba do niczego, bo chłopów se do tej pory nie poszukiwały. To i mnoży się ten dziewczęziński kwiat, bogaciej w ilość dziewczęzińskie pogłowie, i ta poroda na dziewczuchy zmajstrowała tyle, że chłopczyśka okoliczne nie mówią już jak dawniej — „na Ocinku“, ino z prześmiejchem — „na Dziwkowie“.

Dla chłopaków uciecha i śmiech, a dla matek nie oprócz troski i zgryzoty. Dorośnięte córki nie mogą im zejść z myśli, ni chwili nie dadzą zabaczyć o sobie. Tu morgi czekają, wiano nadawane, pora nasza akuratna, a przy tem wszystkiem, laboga, jakoś nie może się im nadać żeniactwa. Lata leżą, roków dziewczusze przybawiają, i dokądże, Bożę kochany, będzie się dzieciakowina tyrała przy odcach, zamiast na swoim, z chłopem, z przychowkiem.

Oj, odmienił się świat i zepsuł doimantu — biedzą matki zawsze, ilekroć zgadają się o swoich ciężkich zgłobach. Jedną przed drugą rada rozwiera swoje żale, bo wiedzą, że jednakowa turbacja gnębi wszystkie narazem, to coż tu się chować ze zmar twieniem, choćby tak delikatnem i bolącym. Jak to najnamolniejsze i tak bliskie męczytnemu sercu.

— Ze się odmielił, to odmielił. Świato prowadzi — potakuje nieodmiennie każda i nie przepomina o pospólnej myśli:

— A dyć choć i te dziewczycy... W jaki to deces, mościwy, popadły teraz, ej! Siedzą i siedzą. Postarząją się, i co będzie?

— A nie mówcież tak. Toby było dopiero, że jasz strach oblatuje. I moja i wasa...

— Miałam szesnoście lot, jak się żeniłam. A jaką sie wam cizbe miało tych kawalirów! Sami porościć wicie.

— Juści pamiętom. Teroz insecasy. Bida.

— To bida winna, nie co insec. Chłopki się bdy boją i cekają lepszego casu.

— „Na bide sie bede zenil? Abo mi to nowala? Mom jescie co jesć u ojcow, co mi tam“ — sły-

sałam sama taką godke. To bez to...

— Bez ten kryzys jakisic. — I dokądze, dokąd? Wkiej będzie kuniec zlym casom?

— Wkiej?...

Wygwarzają się sąsiadki, wyżalają. Ciężko im zwalić ugniot kłopotu, co oto narodził się z czasu złego, niepamiętanego za ich młodych lat. Z czasu, któremu koniec kiedyż przyjdzie wreszcie? Żeby wrócił dawny obrót rzeczy „żeby tak przyszedł do ładu dawny układ życia! W styłanych twarde m życiem twarzach rozłożyła się bezprzestanna troska i za frasowanie, oczy gasną od udręki i mordęgi, myśli się mącą bez widoków na rychłą odmianę.

Matki dziewczuch ocieńskich mają dzisiaj z losem swoich córek — trzy światy. Żeby nikt dobry nie miał tyle kłopotu!...

*

Kłopot z córką ominął Radosową. Nawet nie nadażyła popatrzyć, jako panna wyrośnie z Weronki, i nie stanął wcale przed nią ten czas, na ładowanie wiano przeznaczony i do wesela sposobny. Zabrała się kobita na tamten świat, zbyła się kłopotu przed czasem, a ty, Weroniś, ostaje z Bogiem i radz se ta z dołą dowiela-możności. Ostoje ojciec i braty, to nie zagubisz się w bezzradzie, sieroto.

Kto z obcych popatrzyłby wtedy na Weronkę, pewnością nie dałby jej więcej ponad dziesięć lat, choć naprawdę miało jej czternaście. Jakoś te lata nie do pomagały, żeby Weronka rosła wzwyż, tak jak one rosły. Była z niej malutka dziewczynina, rypyl tyci, turkający się po ziemi niekij kulką. Równieżnie wrychle przestały się z nią bawić i kamracić, taka była śmieszna i nieporadna w małości. Sprzymierzyla się z młodszymi od siebie, ale i te wkrótce od niej odstąpiły.

— Ij, Weronka... — wydziwiali chórem — Odmienie i juści.

Dziewuszki — rówieśnice mówiły prawdę. Weronka była niepodobna do nich nie tylko samym wzrostem małym i posturą zapyziałą. Odmieniła się jej gwar, zalatująca dziworacnie grubą nutą, jakże niepodobną do cienkich dziewczęcych głosów. Jakby basy siedziały jej w gardle i mruczały, stamtąd szorstko i niekobieco. Do tego jeszcze przylęczyła się ta mina w całej twarzy, w składzie ust i w patrzeniu dużych, czarnych oczu. Z tej miny wyglądała roztopność, wczesna powaga, i widać było, że siedzi w Weronce jakiś djabelek uporu i odwagi, co się niczego nie przeleknie. Również nie bez zdania racji stroniły od Weronki, tyle inakzej od nich wszystkim składem usposobienia i wyglądu. One szukały kucznej wesołości, niefrasobliwej pustoty i hopki. A Weronka zawsze wszystko psuła i zamacała.

Nie zapłakiwała się wcale, kiedy matkę pochowali pod cmentarną brzezią. Insza dziewczuska buczałaby po kątach żywemu Bogu i miejscaby se w żałości znaleźć nie mogła. Po Weronce ta matczy na podróż w niepowrót spłynęła jakoś lekko i bez krzyku, że aż wszyscy wydziwiali:

— Ale tyż kwarda, kwarda. Jakby to nie ji matce capnęło. O, nawet nie zapłacać, ani się przed kim wyzoli, a ino trypei za robotą przez całuski dzień. Co za dziewczucha.

A jak się kto litował nad nią i labiedził, czego zwyczaj w takim wypadku, to wtedy prostowała się z podufała miną i chłopskim swoim głosem prawila:

— Umarli, to umarli. Choćbym se ocy wyplakała, to i tak na nic.

A robota cekać nie może.

W dużych, ciemnych, bałoniach palił się pod ten czas uparty ogień i siła, mała figurka zdążyła rosnąć w takim razie i wśród podobnych słów, niepasownych do dziewczuchy i wieku. „Robota czekać nie może“.

Robota. Było jej w obejściach po uszy. I niemal wszystka ona na młodej głowie dziewczuchy. Ojciec-starowinka kwękał na dogryźliwe słoście przez cały prawie rok, i więcej koło niego trza było zachodu, aniżeli żeby w robocie poskucił. Braty rozchodziły się za

swemi dłubkami: Jasiek grzebał w polu i w stodole, a pógłupek — Syberk ganiał za gołębiami, ową jedyną radością w biednym życiu cudaka. Mogli Weronce dopomóc wtenczas, jeżeli zdążyła zapalać ich w porze jądla. Sama jedna jak dzień długi uwijała się niby furze-ka około przeróżnych prac i zawsze jagoś zdążyła na czas się obrobić. Oddawiedawna chowała się u Radosów moc rozmaitej gadziny domowej, nie ubyto jej i za rząd młodej gospodyni. Świnie wywoziły się na jarmark jak dawniej, gęsi, kaczek, kur jakby na-

wet przyrosło. Zręczny zachód Weronki około gospodarstwa w nieczem nie dał poznać, że zabrakło dawnej, biegłej gospodyni. I dziw brał, że młoda kusiajka ma w sobie tyle umiejętności i skutecznej rady, żeby wszystko w domu i oborze akuracie naładzić i pokierować na pożytek. Dziecko przecie jeszcze. Dziwczak nieletni.

Wies oglądała coroczny plon Weronczyny pracy i, chciała czy nie chciała, musiała po sprawiedliwości pochwalić dziewczuchę za ten jej trud nie do wiary. Ten

Miłosz Gembarski

Z cyklu: Spowiedź mazowiecka

XIII.

To jest, na podniesienie, dzwon pieśni,
We wnętrzu spowiednego wyznania.
Ciemne stalle, objawione z pleśni,
Blyszczą jasnością oddychania.

Mój grzech, w przysłowiu: „Nie dbam“ — o siebie. —
Rzucam precz! jak niechrzczoney dźwięk dziki.
Przez chwilę, na powietrzu się kolebie
I trzaska — o prezbiterjum świeczniki

Zapłaciłem już bolesne grzywny,
Rysą w czołe, spiętych nerwów mordęgą;
I zeznaję, wszystko pod przysięgą,
Żem z krwi ciała, lecz nie przeorywny.

A jeśli — rzucę miłość, i chleb ciepłą ręką darowny,
Gdy moich imion dziedzicznych nie zmienia chrzciny;
Kiedy, dla oczu, nowy jestem — okrutny, ale do ław słowny:
Niemasz winy! ani wielkiej winy.

XIV.

Choć mojem życiem wolnem miałbym sobie życie skrócić,
Lecz odejdę, drogą lipowych szumięń.
I nie wrócę; bo gdzież mam wrócić?
Przymknięte rumowisko zadusił pyłem stłumień. —

Przerwana wiosna. Omdlało poczęcie w ziarnach i w ciele:
Płateczki, w paku za małym, pomięte.
To w gardle było przez chwilę dławień upalnych za wiele,
Gdy murów cienie szerokie głuszyły piosnki święte.

Wysiłkiem, życie chłonnym, rośnie wiklina od ziemi;
Na nieboskłonnie się szerzy pryskających szczelin trzask złowrogi,
Rozgniatając ciężarem lodygę dzbaneczników drżących, gdy nad niemi
Przeszedłem, nie wstępując w zamknięcia, w opłoty, progę. —

Choć mojem życiem wolnem miałbym sobie życie skrócić,
Lecz odchodzę, drogą lipowych szumięń;
I nie wrócę, bo do mnie jeno lud musi wrócić,
Aby spojrzeć w światła strumień.

Jest pole, niebo — dla mnie, po burzy, kwietniowe,
Przy wielkiej drodze, nie kończącej się skrycie;
I ja wolny, widzę na niej szczęście nowe:
Moje życie.

XV.

Zrąbałem pogańskie pniaki — z prawa i z lewa, —
I tylko wierzy sadzę... coraz wyższe, prostsze.
Niskopienne znikają garby; niezmiatając dróg, powietrze nagrzewa
Gałęzi srebrnie listwionej, wyciągnięte wiatrami ostrze.

Skorupy naniesione, blichtr z cudzych szmat wybierkiem,
Odrzucam! choć się burzy śmiecia podarty krater.
Już tylko w sosnach, wierzbach, i jeno żytnim szczyrkim,
Chodzi, dychając silnie, mój mazowiecki wiatr.

Ale mnie nie dość! sadzić i siać na wyciętem, skruszonym
Podłożu dla moich wrzosów - kadzideł, borówków łęgu.
I taka jest moja wola, by przechodzić pod wierzbą zagonem,
A po niezapominajek piosence, żyję w dębów najwyższych zasięgu.

Świątynia wieśniacza jest moja. Twarz własną okazuję światu.
Żyję bez udania, wyszedłszy za niewolnictwo gminie,
Powiedziałem siostrze naszej, i naszemu blademu bratu,
O mem prawie, nad nich wzniesionem: moje wilcze prawo inne.

XX.

Pewno wokół przeszła burza,
Bo chłodem mój widnokrąg płynie,
I tylko z wiatrów się wyrusza
Płomiennność życia w mgieł rozczynię.

Ołbrzymią mocą wydzwignięta,
Na szarem polu przed wikliną;
Ponad skrzydlate gniazd panięta,
Lecące chmurą srebrną siną. —

Ujęty w płomień tej kolumny,
Domu bez ściany i powały,
Usłyszę powiew tłumny, szumny.
Rozwidniający i zuchwały. —

To gwiazda w stołb dębiny śmigła;
Choć obcy dziwni, patrząc zdala,
Myśla, że w polu się zapala
Samotna rdzawej sosny igła.

trud aż błyskotał z krów, świń, dorodnego pactwa, z chałupy, o-bielonej galanto po wierzchu i czysto ocharuzowanej we środku. Gospodynie kiwały głowami w pochwałę głośnie, a po cichu zazdrościły sierocie talentu i jeszcze ciszej wzdychały nad swoimi córkami, co im w głowie ino stroje, zabawy, śmiechy z chłopczykami, a do roboty trudno do gnać.

— Zuch, zuch dziewczucha — przewijało się wciąż teraz, jeśli gadka zesła na Radosów, a osobliwie na młoda gosposię.

Zaś oczy rówieśniczek i starszych dziewcząt aż wylazły z zazdrości, bo i cóż poradzić, kiej ci kłuje oko cudza zdatność i wyrób, a jeszcze bardziej, że u takie go odmienca i niećwiej, z którym kiedyś ani się było bawić, ni pogadać o czemś wesołym. I oto jeszcze więcej, że chłopaki copowań niejsze mają dla Weronki tyle dobrych, chwaleńców słów. Zazdrość sili się na wzdargę:

— W ziemie wrośnie, jescie wiec się przypyzuje, jak tak będzie harować bez przestanku.

A harowania przybywało coraz więcej, kłopoty się leżyły coraz in-sze, bo ojcosko zaniemogło szkaradnie, brat Jasiek pohamrał się o swój działek woli żeniaczki, i robić się mu nie chciało, a ten Syberk zbiesił się już na amen. że ino podkradał co się dało, na gołębie, na znisztę. Weronka musiała załatwiać jarmarki, podatki i wszystek rząd gospodarski. Trzema gospodarke krzepko i bez nikiej ochyby. Twardy i zaharowany nadleciał jej niewiedku wkiej — siedemnasty rok.

*

Roi się sandomierski rynek w targowy dzień. Jeśli pogoda stanie akuratna, to aż się kłębi na rynku od chmary ludzi, koni, wozów. Temci więcej jeszcze dzisiaj, o przednowczanej porze, kiedy mus tłamsi i ostatnią ćwiarteczkę zboża każe wywieźć na namolną potrzebę. A tam z ratuszem pstrokacieje od bab, co się porzysiały i postawały na kamieniach bruku i targują pieniądź za masło, serki, kury czy za jaki woreczek z suchą jarzyną. Śród obstarńich kobit, jak równa równym, jest tam i Weronka.

Dawno tu już duleczy, ale się nie pośpiesza ze sprzedażą. Co i raz dopytują się paniusie, ileż się ceni ten jej towar z kurnika; paniusie radeby nawet kupiły te dwie kwoki, bo tuste i ciężkie w rękach, cóż kiedy Weronka droży się i zaceniana wysoko. Taki ma obyczaj, że nie popuści grosza i lubi wytargować ostatnią możliwość kupna. Uciesznje jej tak se przebywać w mieście ze sprzedażą i targować małopomału pośród wiekowych, poważnych gospodyń. — Doloży pani jescie pół złotych? — upiera się przy swoim. Jest ładnie ogarnięta, spod czerwonej krakowiarki blyszczą ciemne oczy a w jagodach pali się ogień młodości, zdrowia i butnej uciechy, sama nawet nie wie, jak udatnie jest jej w tym wyglądzie. Śród suswałów podniszczonych, zetlałych w pracy i starości bab odróżnia się wyraźnie, jak leśny, pachnący kwiat między rudemi mechami. Zajęta targiem, nawet nie widzi, co się dzieje poza kolistkiem handlu.

To nie spostrzegła, że patrzą na nią zboku ciekawe oczy chłopaka. Gibki i strojny, wsparł się o latrę wozu i śledził uważnie małe stwózenie, takie ładne i takie uparte, a roztopnie w targu. Zastanowił go ten mądry skład w maluskiej kobitce, wesoło wsłuchiwał się w szorstki, twardy głos, tak niepodobny do osoby. Długo nie odchodził z miejsca, stał nieporuszony i czujny, dopiero brzęk pieniędzy, wykładanych na rękę dziewczuchy, i jej ruch ku odejściu odkleiły go od przyjemnej warty.

— Muse wiedzieć, co to za jedna. — I poszedł za Weronką. Weronka długo chodziła po sklepach za sprawunkami i kupowała, co potrzeba w domu, i tyle tego. że koszyk walnie zaciężał jej w rękach. Śpieszyła się, żeby jedynym tchem powrócić do domu do obrządku.

I wtedy właśnie miało się stać to, co jej było pisane w nieznanym wyrokach. Zwyczajnie się odbyło, tak prosto i zwyczajnie, że popóźniej, kiedy se wspomina-

ła tę dobrą chwilę, nijak nie mogła znaleźć w niej niczego takiego, coby ją stroiło w blask niezwykłości. Chwila, kusiołeczek czasu mały, i ani wiesz, co się w tym kusym przeciągu czasu może narodzić. Ze oto samo szczęście wyjdzie ci naprzeciwko.

— Cheba cięży ten kosyk. Tyla różności!...

Obróciła się ciekawa. Zobaczyła życziwe, tchnące ufnością spojrzenie nieznanego chłopaka. Przystanęła i zapatrzyła się w niego, słodki niepokój zatrzepotał w sercu. Nkt dotąd na nią tak nie patrzył. Ani tak miło nie zagadał. Zaczzerwieniła się i nie wiedziała już, co powiedzieć. Zagubili się słowa, porosypywały że ani ich odszukać ku pomocy.

— To jo poniese. Taki duży ten kosyk.

Ta chłopacka nieproszona ochota jeszcze więcej ją zmieszała. „Kpi se, zem mała“ — przeleciało migiem po głowie. Ale nie, chłopak wyciąga rękę i dotyka paląka. Chłopak wcale nie myśli żartować. „Co tyz uo plecie — kosyk mu dać! Coby ludzie powiedzieli. Kawalir z kosykiem na jarmaku, świat się kuńczy“ — porwane myśli Weronki gonily się i rozbiły o siebie. Stała na jednym miejscu i nie wiedziała, co z sobą zrobić. Gdzie się podział ten jej upór i ta odwaga na wszystko? Zła była strasznie na siebie.

Chodnikiem szli ludzie w obie strony, nieśli swoje radości i troski, gonili swoje sprawy i interesy i mijali tych dwoje, ani wiedząc, co się między nimi wykluwa. Ktoby tam chciał trudzić się cudzemi rzeczami? Ot, stoją se młodzi, więcej patrzą na siebie, niż gadają, no to co? Jak widzą w sobie co ciekawego, to niechta.

— A moze odprowadzić za miasto? — Chłopak zauważył, że ni w pięć ni w dziewięć narzucił się z pomocą i tylko tem przestraszył dziewczuchę. Żeby naprawić się w jej oczach rozwiódł gadkę o sobie i o tem, czyby nie mógł przyjechać do niej w goście, zaraz, o już w tę niedzielę, co przyjdzie. Czy byłaby mu rada, czy aby się go nie odrzeknie?

Weronce zdawało się, że nie idzie pylną, kopną drogą, ale leci na skrzydłach jakiegoś wesela, którego nazwać nawetby nie spotrafiła. A obok niej płynie i wlewa się w nią gorąca fala ten szept, tak miły i jarzmiący...

Wszystkim na Ocinku wylazły oczy z podziwiania, kiedy zobaczyli kawalira, co do Weronki Radosówny przyjechał w złoty zaraz w niedzielę po tym jarmarku. W głowach nie mogło się pomieścić, że taka młoda i nieurośla dziewczynina, a znalazła se kawalira. I to w takim czasie nieporęcznym. A jakiego jeszcze kawalira! Z dalszych stron, światowca, zucha, a i nie bidaka. Pieniądze duże pono ma i nie szuka, wicie, bogaczki, a tylko chce tę Weronisję, co nie więcej od czterech chudych mordzyn wypadnie z nią z nadziału. Cud to prawdziwy, laboga świętego!

— Świat się przewraca, abo co — symitował się na Ocinku każdy jeden. — Tyle panien bogatych i prymnych dziwkuje jescie, a taki smark się zeni. Cy tak się noleży?

— No a cóż, cy to ji nie wolno? — ktoś próbował tłumaczyć. — A porościć, cy se nie zasłużyła robotą i wszystkiem? Mówie wom, ze która jak która, ale Weronka, o, una jedna mo prawo do tego sściecio, co sie ji sykuje. Żeby kazdo tyle sie napracowała i tyle dobrego zrobiła, toby było wseady dobrze. Gospodyni z Weronki będzie, na pokoz będzie. I swojego chłopca jescie zakasuje, zoboczycie!...

Parę tygodni przeminęło, i zahulała wieś na Weronczynem weselsku. Wnośno było i dobre, że ino go chwalić pełną gębą. Chałupa aż się rozdymała od gości, od gwaru, od muzyki porywistej.

A trzydzieści kilka druhien — Ociniątek popatrzywało w tańcu i przy weselnym stole na jej szczęście. Tej Weronki - odmienca, co ni to kiedyś do zabawy, ni do gadki...